№ 35. Wilno, dnia 22 Listopada 1925 r. Rok I.



TYGODNIK DLA DZIECI I MŁODZIEŻY.

Marja Czeska-Mączyńska.

Nieznanemu Żołnierzowi.

O wspomnij, synu, w wieczornym pacierzu,
o owym nieznanym, kochanym żołnierzu,
co kraju wywalczył swobodę.
Co broniąc wolności, krwią broczył serdeczną,
Byś ty miał kraj wolny i młodość bezpieczną,
On życie swe oddał, zbyt młode.

O wspomnij, synusiu, o jego ofierze
i pomódl się, pomódl, gorąco i szczerze,
za dusze żołnierzy nieznanych.
Tych wszystkich, co broniąc Ojczyzny polegli,
co zdrowia daniną od wroga ją strzegli,
Tych wszystkich nieznanych, kochanych.

Wiesz, synku, z nich każdy miał pewno rodzinę,
miał matkę, czy żonę, miał może dziecinę,
jak ja cię mam, synku, mój drogi.
O pomyśl, jak bólem broczyło to serce,
na onej okrutnej, bolesnej żołnierce,
gdy rzucał rodzinnych chat progi.

Gdy synka do piersi raz tulił ostatni,
zostawiał dom, żonę, byt nieraz dostatni,
by stać się żołnierzem bez nazwy...
Nie jeden z nich poległ, bez skruchy, pacierza,
więc módlmy się, synku, za tego żołnierza,
Za tego żołnierza... bez nazwy.

A jeśli w twem życiu napotkasz dziecinę,
co w wojnie o Polskę straciła rodzinę,
to w uścisk przygarnij ją bratni.
I podziel się chlebem, jak z bratem kochanym,
z sierotą po owym żołnierzu nieznanym,
co zginął za Polskę ostatni.



Mel. Czar.

Do granicy!

(Ciąg dalszy).

— Dobrze, — odparł Janek, — pozwólcie tylko mojej małej przespać się pod dachem, a ja z bratem, na dworze odpoczniemy...

— No to chodźcie do chaty..

Zosię tak sen zmorzył, że nie czekając na jedzenie, które gospodyni przygotowywała, usnęła zaraz. Janek ze Stasiem zjedli trochę gorącej strawy i wyszli na podwórko. Tam córka gospodyni, Antosia, wskazała im szopę, gdzie na odrobinie słomy legli i zasnęli jak w puchowej pościeli.

Nazajutrz dzieci wypoczęte, zbudziły się wcześnie. Zosię zatrzymała przy sobie dobra gospodyni, a chłopcy jęli się pracy. Staś podawał Jankowi gałęzie leżące na podwórzu, Janek wziąwszy siekierę od gospodyni rąbał je, brat układał pod ścianą. Robota szła doskonale. To też wkrótce Antosia wyniosła im miskę zacierki w mleku, a chłopcy wzięli się do niej tak gorliwie, że w parę minut już jej nie było.

Pracowali dalej.

Gospodyni zadowolona, dała im na obiad kartofli ze skwarkami, czego dawno już w mieście nie widzieli.

O zachodzie słońca robota była skończona. Janek podszedł do gospodyni, siedzącej na progu izby, i chciał ją pożegnać mówiąc: „Dziękujemy wam za dobre słowo i nocleg. Już czas nam w drogę...“

Ale gospodyni aż plasnęła w ręce:

— A cóż to, czy ja heretyczka jaka, żebym was biedne dzieciaki na noc z chaty wygnała. Wszyscy my tu we wsi Polaki i katoliki, krzywdy wam nie uczynimy żadnej. Przenocujcie tu z nami, a jutro rankiem będzie wam raźniej iść do Polski. O, bo choć ty chłopcze nie powiedziałeś mi dokąd tak wędrujecie, ale ja dobrze rozumiem, że wy tam do naszej Najmilszej idziecie. Dałby to Bóg, żeby Ona i nas przygarnęła..

Janek nic nie mówiąc pocałował gospodynię w rękę, popatrzył na Zosię, która już w najlepszej przyjaźni bawiła się z Antosią, i skinąwszy na brata, zaśpiewał pieśń wieczorną: „Wszystkie nasze dzienne sprawy...“

Z sąsiednich domów zbiegli się ludzie, żeby posłuchać pieśni i popatrzeć na dzieci tak dzielnie radzące sobie. Na uciechę wszystkim zaśpiewali jeszcze parę piosenek, poczem napiwszy się mleka ze świeżym chlebem do snu się ułożyli.

Dobra kobieta już z wieczora zabrała plecak i wypełniwszy go chlebem, serem i kilku jajami, dodała jeszcze butelkę mleka dla Zosi. Wtenczas dopiero spać poszła. Długo jednak usnąć nie mogła.

— Jakże to, — myślała, — takie dzieci przebierają się przez granicę, a nuż złapią ich bolszewiki. Smierć pewna, a już że odstawią do Mińska, to jak Amen w pacierzu...

Trapiła ją myśl ta, bo widziała, że to poczciwe i biedne sieroty. To też rano zawołała do siebie Janka i ostrzegała, że się naraża na wielkie niebezpieczeństwo, że jeżeli trafią na złych ludzi, to im grozi więzienie. Ale dzielny Janek przecie był harcerzem, nie jedno już widział i nieraz był zmuszony z matni się wywijać. Uspokoił więc życzliwą kobietę, podziękował i wraz z rodzeństwem pożegnał. Matka z Antosią pobiegły z nimi do zakrętu drogi,



nawet pies Burek podskakując wesoło dopędził ich i dopiero na wołanie Antosi razem z nią wrócił do domu.

Znowu tak jak dnia pierwszego maszerowali, odpoczywali, albo jedli swoje zapasy, wciąż idąc lasem lub łąkami według wskazówek Antosi. Pilnie zważał Janek na drogę, od której nie zbaczał zbyt daleko, a wciąż kierował się ku Zachodowi. Im bliżej granicy, tem więcej strzegł się wstępu do wiosek, tak, że noc nadchodzącą spędzić wypadło w leśnych gąszczach Gdy się układli na posłaniu z mchu, przyglądali się ptakom osiadającym na gniazdach, a Zosia spostrzegłszy rudą wiewiórkę, aż klasnęła w dłonie, i z zachwytem ukazała bratu to niezwykłe dla niej zjawisko. Janek opowiedział jak to zwierzątko żyje i czem się żywi, aż sen skleił im znużone powieki.

Usnęli pod strażą tych drzew kochanych, co nad niemi tworzyły zielony i pełen tajemniczych szmerów namiot.

Swiergot ptasząt zbudził ich rano. Zapasów jedzenia

mieli jeszcze, ale brak wody bardzo im się dał odczuć. Janek resztą mleka napoił Zosię, i udał się na poszukiwanie jakiego strumyka. Jakoż wkrótce znalazł studzienkę, w którą wstawiona była beczka, wyjął więc z plecaka kubek i przykląkłszy na ziemi zaczerpnął wody, umył się i napił, a napełniwszy go znowu zaniósł dzieciom, oczekującym brata z niepokojem.

— Tak długo nie wracałeś Janku, myślałem, że coś niedobrego się stało... mówił Staś.

— A otóż jestem, cóżby się miało stać, odrzekł, i zabrał się do dzielenia prowjantów.

Posiliwszy się nieco ruszyli, przed sobą i za sobą oglądając pilnie krzaki.

Był to już dzień czwarty ich wędrówki. Janek szedł ostrożnie, bo studzienka z której czerpał wodę, dawała do myślenia, że nie są zbyt daleko od ludzkiej siedziby. Trzeba się strzec, powtarzał w myśli Janek, nie zawsze trafimy na dobrych ludzi, a Antosia ostrzegała, że tu pilnie uważać trzeba.

I oto, ledwie uszli może ćwierć wiorsty od swego nocnego legowiska, Staś spostrzegł psa leżącego pod krzakiem, szepnął więc z cicha.

— Janku, widzisz? tu pewnie jest ktoś blisko...

Janek się zatrzymał i bacznie psu się przyglądał, ale ten się nie poruszył, podniósł jeno łeb i patrząc w twarz Janka zaskomlał. Był strasznie wychudzony, a oczy łez miał pełne i Janek zrozumiał: — Ten pies przywlókł się tu, żeby zdala od ludzi, w ciszy i samotności, żywot swój zakończyć. —Podszedł bliżej i cóż zobaczył? oto biedny pies miał przetrącone obie tylne łapy.

Nie namyślając się, wyjął z plecaka kawałek chleba i psu podał, ale on chleb powąchał, wziąć jednak nie chciał. Wtenczas Janek odsuwając dzieci po za siebie, zdjął plecak, poszukał w nim, wyjął kawałek białej szmatki i pudełko z maścią i wziął się do opatrunku biednego kaleki. Będąc harcerzem doświadczonym, nieraz wysyłanym w jakiej przygodzie, zawsze miał w plecaku bandaże i maście, aby na wypadek sobie lub komu nieść ulgę w cierpieniu. Przykląkł, pogłaskał psa i dotknął delikatnie chorych jego łap.

Pies odczuł widocznie, że ten dobry człowieczek krzywdy mu nie uczyni i zrozumiał, że mu on pomoc niesie. Staś ośmielony zbliżył się także i jął pomagać Jankowi Pies najcierpliwiej znosił ból przy oczyszczaniu zabrudzonych ran. Wkrótce operacja była skończona, łapy obandażowane, a pies ulgę czując, polizał rękę swego dobroczyńcy i chleb podany zjadł ochotnie. Staś również ułamał kawałek ze swojej porcji, otarł o słoninę, i zbliżywszy się zachęcał:

— Jedz, piesiu, dobry, biedny piesiu, to pewnie cię jaki zły chłopak skrzywdził...

Ale czas im w drogę,—ruszyli więc przed siebie, pozostawiając kalekę psa jego losowi. Oglądał się on za odchodzącymi i usiłował podnieść, ale widocznie sił niemiał.

Wędrowali tak odpoczywając, przegryzali ostatnie kawałki chleba i sera, i wciąż rozglądali się i nasłuchiwali.

Słońce zachodziło, zbliżał się wieczór, w lesie zapanował mrok.

Nagle usłyszeli jakieś głosy i trzask łamanych gałęzi Janek zatrzymał się i słuchał.

Tak, — gdzieś tu blisko!

Zawrócili w gąszcz. Hałas się zbliżał. Przypadli do ziemi, żeby ich nie spostrzeżono, Janek szybko owinął Zosię w chustkę i wziął na plecy. Serca im łomotały, bo czuli, że oto zaraz, zaraz coś się stanie...

(d. n.).

Helena Świeżyńska.

Historja Sycylijskiego osiołka.

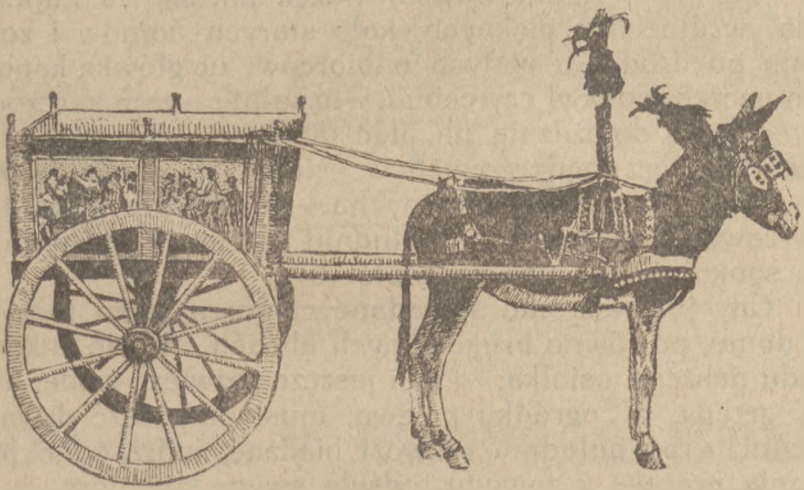
(Ciąg dalszy).

Ród jego już oddawna żyje na Sycylji, a ojciec, dziad, a zdaje się i pradziad urodzili się w Palermo;—to też, jako nieodrodny ich potomek, posiada on wszystkie zalety i cechy Sycylijsklego osiołka. — Jest bardzo mały,

krępy i silnie zbudowany, sierść ma jasno szarą, mysiej barwy.—

Ale ktoby, z tego niepozornego wyglądu, chciał źle sądzić o wewnętrznych jego zaletach, ten by się pewno omylił.

Osiołek jest niezmiernie silny i wytrzymały, a biega tak szybkiego kłusa, że niejednego wielkiego i ciężkiego konia, tak dumnego ze swej wyższości i postawy, mógłby zawstydzić. — Wie o tem pan osiołka i ceni go bardzo. Czyści po każdym przejeździe, by popielata sierść ładnie błyszczała, daje mu jeść obficie i nazywa czule „carrissime“ (co znaczy po polsku kochany) klepiąc po karku i grzbiecie.



Co rano stroją go w uprząż piękną, kolorową. Sterczą nad nią dwa tak wspaniałe pióropusze z czerwonych i szafirowych piórek, jakiemi mało, który osiołek w Palermo poszczycić się może. Oprócz tych pióropuszy zdobią ją błyszczące guziki, małe lustereczka i barwne pompony.— Tak wystrojonego osiołka zaprzęgają do „carrozz'y Sycylion'y“ czyli, mówiąc po polsku, do Sycylijskiego wózka.— Wózek ten jest niemniej barwny od uprzęży. — Na bokach jego są wymalowane cztery piękne obrazy, przedstawiące: jakieś piękne damy, ludzi w dziwnych strojach, rycerzy w zbrojach, z długiemi mieczami. — W całym wózku nie znajdziesz ani kawałeczka drzewa naturalnego koloru. Pomalowane są jego dwa wielkie koła, pomalowane jaskrawo dyszelki, ba! — nawet osie, nawet żelazne

okucia, których zakończenia rzeźbione są w jakieś dziwne smocze głowy, są czerwonej, zielonej i niebieskiej barwy.—

Myślicie pewno, że teraz jakaś królewna z bajki, jakiś kopciuszek zaczarowany siądzie do owej carrozz'y. Ależ nie! nic podobnego! — to powozik co chwila spotykany na ulicach Palermo, a wiezie on nie królewnę zaklętą ale.... warzywa. — Wozi kalafjory, marchew i pietruszkę, selery, pory, karczochy i inną włoszczyznę, — czasem też wiezie i smaczne mandarynki i pomarańcze, jednem słowem różne, przeróżne rzeczy, które pan naszego osiołka, przekupień warzyw i owoców, na targu sprzedaje. Co rano tedy, naładowawszy wózek jak się da najlepiej, jadą wzdłuż ulic pięknych, koło starych domów i zostawiają po drodze u stałych odbiorców: tu główkę kapusty, tam pęczek rzodkwi czy cebuli,—tu sałatę,—tam karczochy. Aż z resztą dojeżdżają na plac targowy, gdzie dużo, dużo takich carrozz zaprzężonych w osiołki, a czasem w muły lub konie, tłoczy się i przepycha. — Ruch, krzyk wszędzie i wrzawa.— Wszak to na południu jesteśmy!—gdzie ludzie nic spokojnie nie umieją robić...

Gdy już wszystko sprzedane carrozza lekko toczy się do domu, po równo brukowanych ulicach, ale nie tu koniec trudu naszego osiołka.—Musi jeszcze rozwieźć wodę, którą się grzędy w ogródku polewa, musi przywieźć drwa do kuchni, a po południu rozwozi bieliznę, którą żona przekupnia, praczka z zawodu, odsyła swym klijentom. — Czy ta bielizna jest bardzo czysta, śmiem wątpić, bo wyobraźcie sobie, suszyła się na sznurach przewieszonych w poprzek ulicy od okna do okna i od balkonu do balkonu. Deszcz ją moczył, słońce bieliło, ale i kurz uliczny osypywał ile razy jaka carrozza, dorożka, a co najgorsze automobil przejechał przez ulicę, pod temi festonami z koszul i innych części ubrania. — Ale cóż, taki zwyczaj, więc mniej lub więcej czystą, ale w każdym razie upraną bieliznę rozwozi nasz osiołek. —

(d. c. n.).